

CHATA OO. JEZUITÓW W LUFUNDZE
(z prawej strony O. Mosskopp, z lewej — Brat Rodenbüher).

Błogosławiona noc!...

„Beata nox!" Wieki na nią czekały, aż zeszła na tę biedną ziemię i zajaśniała w ciemnościach blaskiem niezrównanym!... Olśniła Aniołów, pastuszków olśniła, hen daleko odbiły się jej promienie w duszach, wiary spragnionych, Mędrców Wschodu... Ale tłum blizki, otaczający niemal Betlejemską stajenkę, ten tłum nie widział, nie zauważył, odtrącił.... zajęty czem innem....

„Przyszedł do swoich, a swoi Go nie przyjęli."

Błogosławiona noc!... gdyż Niebo tak nizko pochyliło się nad ziemią, że ją objęło i pokryło miłosierdziem.

Błogosławiona!... dała bowiem ludzkości Boga Wcielonego, a z Nim: wyzwolenie, przebaczenie, miłość, której upadły człowiek żebrał napróżno u bożyszcz, w świątyni swego serca, nędznym namiętnościom, wznoszonych.

*
* *

I oto znów, jak przed dwoma tysiącami lat prawie, zbliża się noc Bożego Narodzenia. I teraz do żłóbka pośpieszą serca czyste, dziecięce, jak betlejemskich pasterzy, śladem zaś ich pójdą umysły, prawdy żądne, a pojmujące gdzie jej szukać i gdzie ją znaleźć można.

A tłumy?... te i dziś, po dwudziestu wiekach niemal łask nieprzerwanych, *Jezusa, co przyszedł do swoich, nie przyjmą...*

Są i tacy jeszcze, coby przyjęli, gdyby znali, którzy chcą poznać, lecz nikt im drogi nie wskaże, nikt nie zaprowadzi do żłóbka!...

Czytelnicy kochani, czy nie dostrzegacie wśród tych nieświadomych, nie pojedyńczych już jednostek, ale całych plemion afrykańskich, domagających się misyonarzy?...

O, niech blask tej błogosławionej nocy na dusze nasze padnie i niech w tem świetle, u stóp Bożego Dzieciątka, poznamy, *jak chce być Ono przyjęte, gdy przyszło do swoich!...*

X.

ABISSYNIA I ABISSYŃCZYCY.

CZARNE KWIATY.

Różne szczegóły o Abissynii i jej mieszkańcach.

Przez O. Józefa Baetman'a, misyonarza Lazarystę.

(Ciąg dalszy).

Misyonarze Towarzystwa Jezusowego.

(XVI i XVII wiek).

Z rozkazu Papieża Pawła IV, a z wyboru samego św. Ignacego wysłany został O. Oviédo, następnie O. Lopez (1557—1597) do Etyopii. Zjednali oni sobie szybko ogólną przychylność i utorowali drogę nieśmiertelnym dziełom O. Paëz'a i jego towarzyszy. Imię O. Paëz'a (1603—1624) zażywa po dziś dzień czci i sławy.

Nawróciwszy cesarza Socinos'a, miał już rychło zostać szczęśliwym świadkiem nawrócenia się całego narodu za przykładem panującego, gdy wtem skon monarchy zniweczył to dzieło i powstrzymał powrót masowy na łono Kościoła katolickiego. Następca Socinos'a, Basilides, skazał na śmierć lub wygnanie patryarchę katolickiego, wszystkich misyonarzy i kapłanów krajowców. Wszyscy wraz z ogromną liczbą Abissyńczyków, stojących wiernie przy wierze św., przełożyli śmierć nad wygnanie i zginęli w strasznych katuszach (1640). Wiek ten był dla dzielnych żołnierzy Chrystusowych wiekiem ciężkich wysiłków, uwieńczonych chwałą wygnania, mąk i śmierci męczeńskiej.

Zakon św. Franciszka z Assyżu.

(XVIII wiek).

Zawierucha prześladowania srożyła się odtąd nieustannie na obszarze Abissynii, zamieniając ją w pobojowisko. Od r. 1648 do 1834 synowie św. Franciszka niejednokrotnie mierzyli się tu ze schizmą, okazując się godnymi rycerzami niczem nie zniechęconego Kościoła. Kardynał Richelieu i Ludwik XIV próbowali pośredniczyć pokojowo, lecz schizma i islam zgodne w swej wspólnej nienawiści względem Franków (frenghi), zdołały zawsze zagrodzić drogę nieustraszonym OO. Kapucynom i Ojcom z Ziemi św. czy to w Suakinie, czy w Masswie. Hasłem schizmatyków było i pozostało po dziś dzień: „Raczej koran, aniżeli połączenie z Rzymem!"

Co się tyczy Franciszkanów, to i im również palma męczeńska przypadła w udziale. Pierwsi ich wydelegowani misyonarze zostali ścięci w Suakinie, a głowy ich odesłano Basilidesowi. OO. Agathangelus i Kassyan, których Rzym beatyfikował niedawno, zostali haniebnie powieszeni w r. 1638. Pozostali w liczbie trzech, zdoławszy osiedlić się na wzgórzach Ukaisu, pracowali w spokoju za panowania i dzięki sprzyjającej im łasce króla Jostasa, lecz wkońcu i ich ukamienowano na placu publicznym w Gondarze. Odłączona oddtąd od Europy żelazną niejako obręczą, stała się Etyopia dla wszystkich, prócz Egiptu, krajem nieznanym i niedostępnym. Aż do r. 1838 kilka nowych usiłowań w niwecz zostało obróconych. Ale w tym to czasie ukazało się dwóch świętych, którzy poruszając kraj cały, zaszczepili nieco kwiatów wiary, czego następstwem było straszne prześladowanie. Jednym z tych apostołów był Lazarysta włoski, X. Biskup de Jacobis, którego Rzym uznał właśnie czcigodnym. Przebywał on lat trzydzieści w Abissynii, zażywając czci świętego i zmarł wkońcu po życiu pełnem umartwień, pokory, trudów i prześladowania, w głębi wąwozu, osieracając 30.000 katolików. Drugim był Biskup, Kapucyn,

Kardynał Massaïa, który, aby dotrzeć do Gallasów, zgolił włosy i brodę, przebrał się za kupca i założył, pomimo przeciwności i prześladowań nieustannych, chrześcijańską gminę Gallasów.

Oto, jak dzieci tego Kościoła, zwanego „niezniechęconym“, zwalczały niestrudzenie wrogiego olbrzyma herezyi; lecz biedny ten naród nie umiał cenić łask w udziale mu przypadających, nadużywał ich, gasił przynoszone mu światło, mordował swoich apostołów, to też ukarany on dzisiaj srodze: bo nie wiem, czy jest iskra elektryczna, któraby zdołała przywrócić do życia tego trupa społecznego.

Pierwsze kazanie Misyonarza.

Poniższe kazanie wypowiedział X. Biskup de Jacobis w obecności zakonników z Aduy; podajemy tu luźny przekład w streszczeniu:

Serce samo nie umie mówić, musi posługiwać się ustami. Pozwólcie zatem dziś ustom moim wypowiedzieć, co w sercu dla was czuję.

Aż do dwudziestu lat żyłem swobodny i szczęśliwy w ojczyźnie mojej, u boku ukochanych rodziców. Gdy ukończyłem lat dwadzieścia, usłyszałem, że w Etyopii są chrześcijanie i od tej chwili myśl o was nie opuszczała mnie nigdy. Kochać was, pracować dla was, wydawało mi się największem szczęściem, najpiękniejszym celem, najmilszem marzeniem.

Trzeba było zamiar mój objawić rodzicom. Pamiętny dla mnie to wieczór. Płacząc, przypadłem do nóg ojca i zawołałem: Ojcze! opuszczę ciebie i może się już nigdy nie zobaczymy na ziemi! Muszę iść na Wschód, aby głosić dobroć i chwałę Jezusa Chrystusa! Pragnę tam w Imię Jego odnosić zwycięstwa, a ciebie, mój ojcze, proszę o błogosławieństwo na tę podróż! Ojcu łzy nie dały mówić, więc poszedłem do matki. Z matką inna była rozmowa:

— Matko, muszę odjechać!

— Dokąd, synu?

— Do takiej ziemi, której cały naród płacze, wyciągając do mnie ręce.

— Chcesz mnie opuścić? Kiedy chcesz jechać?

— Jutro.

— Więc mnie już nie kochasz?

— Matko! Jak możesz tak mówić?

— A dlaczego chcesz odejść?

— Bo tam cierpi cały naród i ja pragnę go zbawić!

— A zostając w ojczyźnie, zbawiałbyś dusze!

— Czy myślisz, matko, że to wystarcza dla tej płomiennej i wielkiej miłości, którą Bóg nieci?

— Lecz z tobą zniknie całe moje szczęście, kto tobie matkę zastąpi?

— Bóg sam, który mnie tam zaprowadzi! Pobłogosław matko!

— Kiedy wrócisz?

— Nigdy.

— A gdy zginiesz, to ja i tej nie będę miała pociechy, żeby zapłakać na grobie?

— Każde dzieło wielkie domaga się ofiar, a dla użyźnienia roli serc ludzkich potrzebaby nawet krwi!

— Krwi? Czyżbyś pragnął męczeństwa?

— Niegodny jestem tej łaski, lecz chętnie położę życie w ofierze, żeby być nasieniem prawdy.

Nie mogłem dokończyć, bo łzy ojca zmieszały się z płaczem matki. Upadłem im do nóg, prosząc o błogosławieństwo i otrzymawszy je — odszedłem.

Opuściłem rodziców, aby przyjść do was, moi ukochani! Żadne niebezpieczeństwa nie zdołały mię powstrzymać, ani przerazić. Czy napotkała mnie burza i piorun kruszył w mych oczach olbrzymy skalne, czy dziki zwierz groził, nie znałem obawy, bo prosiłem Pana, by zachował mię dla was.

A teraz jestem między wami sam jeden. Niema już dla mnie ojca, ani matki, ani nikogo z tych, których dla was opuściłem. Pragnę, abyś ty, mój ukochany ludu, stał mi się ojcem i matką! Pragnę żyć z wami, służyć wam, cierpieć i weselić się z wami. Chleb mój będzie chlebem waszym, odzienie moje okryje was w potrzebie, wszystko co moje, do was należy! Lecz przedewszystkiem oddaję wam serce, bo przyszedłem do was dlatego, żem wasz przyjaciel, żem chrześcijanin!

GŁÓD.

Co o nim piszą Misyonarze.

X. Biskup *Gerboin* donosi z *Unyanyembe:* „Klęska głodowa dotknęła w zeszłym roku w okropny sposób wiele naszych stacyj misyjnych, lecz przedewszystkiem U l u n y n ę. W tym roku taki sam brak pożywienia. Od czterech lat nie było dostatecznego deszczu. Pierwsze zasiewy zeschły na pniu, następnie przeszły małe deszcze, nie pozostawiając po sobie śladu. Wszystko poschło tak, że mimowoli musimy się trwożyć. Przed dwoma dniami otrzymałem list od przełożonego misyi w Marienseen, w którym mi donosi, że u nich, w porze deszczowej, deszczu wcale nie było! Ludzie uciekają, szukając okolic, gdzieby znaleźć mogli jakiekolwiek pożywienie. Brak opadów atmosferycznych grozi temu krajowi spustoszeniem — niestety, tak jest prawie wszędzie!“

Bechuanaland. — O. *Porte* pisze: „Zima się zbliża, a my nie mieliśmy wcale zbiorów, nawet siana dla koni nie mamy, bo posucha spaliła wszystko. Przez cały rok nie było prawie kropli deszczu!“

* * *

Z Górnego Konga X. Biskup *Huys* pisze: „Skutkiem śpiączki wiele wsi musiało się przesiedlić, co pociągnęło za sobą brak pożywienia. Wobec tego, że niema co jeść, przynoszą nam dzieci na sprzedaż, dzieci chude, wynędzniałe, nie mogące utrzymać się na nogach. Ileż razy serce mi się krwawiło, gdy znajdowałem je przy drodze wycieńczone głodem, palone słońcem, leżące na ziemi prawie bez życia. Pragnąc uratować te biedactwa, wykupywałem je u dzikich, którzy się ze mnie naigrawali i zanosiłem do ochrony. Los tych małych niewolników u pogan jest opłakany. Zamiast odzienia otrzymują od swoich właścicieli kawałek łachmana, na dłoń szerokiego, pożywienie zdobywają przeważnie kradzieżą, a za lada co, okłada się ich niemiłosiernie razami. Biada im, jeśli popadną w chorobę. Wrzody i robactwo toczą je do tego stopnia, że nieraz takie biedne dziecko traci w ten sposób rękę lub nogę. Trawione gorączką, chcąc ugasić pragnienie, muszą się wlec same do strumienia.

Zbytecznem byłoby chyba dodawać, że wobec takiego poniżenia, ich stan moralny nie o wiele jest lepszy. Jakaż więc radość dla serca misyonarza, gdy otrzyma z rąk wierzących chrześcijan jałmużnę, która mu umożliwia ratunek tych małych istot, przeznaczonych na zagładę.“

* * *

Z kraju Agikuyu (wikaryat półn. Zanzibaru) Siostra *Marcyanna* pisze: „Ponieważ w porze deszczowej nie było opadów, więc nikt nic z pola nie zebrał. O skromne zasoby, które z przeszłego roku pozostały, trzeba walczyć z wszelkiego rodzaju drapieżcami ze świata zwierzęcego, a u progu stoi — głód. Obecnie musimy czekać jeszcze trzy miesiące zanim będziemy się mogli spodziewać deszczu. Agikuyowie, z natury weseli, są teraz smutni i osłabieni brakiem chleba. „Jestem głodny“ — oto śpiewka, która zawisła na wszystkich ustach.“

Drodzy Czytelnicy, którzy, wśród rodziny, lub przyjaciół niebawem zasiądziecie do stołów wigilijnych, obficie zastawionych, wspomnijcie w ten pamiętny wieczór o czarnych braciach waszych wydziedziczonych i o ich bohaterskich Misyonarzach!... Łamiąc się opłatkiem, tem godłem bratniej miłości. przypuśćcie do działu i tych, co z daleka domagają się od Was chleba dla podtrzymania życia i pokarmu dla duszy!...



Siostry Bożej Opatrzności i krajowe postulantki w Ambatolampie, u Groty Lourdes.

Korespondencya misyjna.

Prace, trudy i zdobycze apostolskie w Prefekturze Uele, w Kongo belgijskiem.

(List O. Van Reeth'a, ze Zgrom. OO. Premonstratenzów).

Nasi gorliwi chrześcijanie modlą się codzień: „Bokonji na yo bokomana" — „Przyjdź królestwo Twoje", a prośba ta zda się być miłą Panu Bogu, gdyż wysłuchuje jej i błogosławi naszej pracy. W ciągu ostatnich lat osiągnęliśmy w pogańskich okolicach prefektury Uele wyniki zdumiewające i zachęcające. Szanowni Czytelnicy osądzą zresztą sami z niniejszego sprawozdania z mojej kwartalnej wizyty w dwudziestu stacyach misyjnych, zawisłych od misyi św. Norberta w Ibembo-Tongerloo.

Podróż trwała kilka tygodni z rzędu. Szedłem pieszo po kilka godzin dziennie, od wioski do wioski, przebywając po drodze bądź gęste lasy, bądź rozległe trzęsawiska, bądz posługując się łodzią na rzece Itimbiri, która uchodzi do Konga, w pobliżu stacyi misyjnej Engengele, oddanej pod opiekę Matki Bożej z Valcourt. W czasie tej wyczerpującej wędrówki musiałem pokonywać rozliczne trudy, lecz za to doznawałem szczęścia na widok rozszerzania się chwały świętego Imienia Pana naszego Jezusa Chrystusa. Szczęście to każe zapomnieć odrazu o wszelkiem zmęczeniu i osładza gorzkie nawet cierpienia. Odrazu wstępują w człowieka nowe siły, kiedy widzi piękne plemiona: barikonbo, bodzaki, mabinza, wyczekujace przybycia misyonarza, któryby im udzielił świętych Sakramentów i oświecił w wierze w prawdziwego Boga. Wzdłuż rzeki Itimbiri wzrasta ilość chrześcijan niezwykle, zarówno w Moenge, Mandungu, Ibembo, jak i w innych wioskach w okolicy. Załączam niektóre cyfry statystyczne z ostatniego kwartału:

W Pompai:	12 chrztów,	3 śluby,	53	Komunie św.
„ Mandungu:	18 „	1 ślub,	38	„
„ Lolo:	11 „	3 śluby,	24	„
„ Mbonda	5 „	1 ślub,		
„ Moenge	4 chrzty,		110	„
„ Yankau	4 „	4 śluby,	70	„

Podobne cyfry mógłbym przytoczyć z innych stacyj, jakoto: Bongongo, Bonbuna, Yandunga, Mbila, Mopeia, Masenda, Kolomo, Liumbe, Engengele i t. d.

Trzeba przypisać wstawiennictwu wielkiego św. Piotra Klawera i św. Apostołów, że w całym okręgu daje się uczuć dążność do przyjęcia chrześcijaństwa. Zmęczeni niewolą po-

gaństwa i zabobonów, pragną tutejsi mieszkańcy zrzucić z siebie to ciężkie jarzmo ducha ciemności i stać się dziećmi prawdziwego Boga. Pragną się modlić w duchu i prawdzie, *in spiritu et veritate* i przyjąć Sakrament Chrztu św. Niewzruszoną mamy nadzieję, że w tym zakątku Afryki sprawdzą się wkrótce i w zupełności słowa Izajasza proroka: *Regnabit Deus tuus!* „Bóg twój zapanuje!“

Nadzieja ta stanowi siłę misyonarza, której też potem nie zdoła wyczerpać ani trud wędrówek, ani wytężająca praca w stacyi misyjnej: nic nie stanowi dla niego przeszkody, kiedy widzi, że na jego lud płyną z nieba promienie łaski. Nasienie prawdy zapuściło korzenie głęboko, ponieważ Pan Bóg użyczył błogosławieństwa. Razem z królewskim pieśniarzem Dawidem musimy się cieszyć na widok tych ludów. *Subjecit populos nobis et gentes sub pedibus nostris.*

Jeden z obrazków naszego życia, mogący usprawiedliwiać nadzieje na przyszłość, pragnę ukazać Szanownym Czytelnikom.

Ze stacyi Schlägl udałem się do stacyi Tamines, oddanej pod opiekę św. Ludwika (Yankau). Zatrzymałem się w niej przez kilka dni, aby urządzić uroczyste nabożeństwo dla chrześcijan okolicznych w dniu Wszystkich Świętych.

W każdej ze stacyj, w których byłem poprzednio, zapowiedziałem chrześcijanom, że święto naszych niebieskich Patronów będziemy obchodzili w Tamines i że bardzo pragnę, aby się wszyscy w ten dzień tam stawili. Zagrzani memi słowy i ożywieni duchem wiary, po przyjęciu św. Sakramentów, oczekiwali niecierpliwie tego dnia, o czem innem nie mówiąc.

Już wilia uroczystości radośnie zapowiadała się w stacyi misyjnej św. Ludwika. Choć kaplica tutejsza nie jest zbyt mała, to jednak postanowiłem odprawić nabożeństwo pod gołem niebem, spodziewając się wielkiego napływu gorliwych neofitów. Ołtarz ustawiłem w pobliżu kaplicy i z pomocą chrześcijan przyozdobiłem zielenią i palmowymi liśćmi. Ukończywszy przygotowania zewnętrzne, mogłem się oddać spełnieniu obowiązków duszpasterskich. O godzinie 2 po południu zacząłem słuchać spowiedzi i wkrótce spostrzegłem, że zaczynają napływać katechiści z chrześcijanami: jedni pieszo, inni w łodziach. Tłumy pobożnych wzrastały z każdą chwilą. O godzinie 4 wyszedłem na chwilę z konfesyonału, aby zaczerpnąć świeżego powietrza i napotkałem chrześcijan z Liumbe, Mbila, Mongele, Bonbuna i Moenge, którzy gwarzyli na równinie w pobliżu kaplicy. Wróciłem pospiesznie do słuchania spowiedzi i po dwóch godzinach ostatni penitent odszedł od konfesyonału. Zacząłem tedy odmawiać brewiarz, podczas kiedy coraz nowi przybysze garnęli się ku kaplicy. Gdy zobaczyli, że zamykam brewiarz, przyszli mnie pozdrowić miłem „senene“.

Ja wyraziłem im radość z powodu tak licznego stawienia się i razem udaliśmy się do kaplicy, gdzie przemówiłem do nich w kilku słowach o znaczeniu nadchodzącego święta, poczem odmówiliśmy wspólnie modlitwy wieczorne. Po modlitwie rozeszli się wierni po chatach, udając się do znajomych na wieczerzę i wypoczynek.

Nazajutrz, 1 listopada, o godzinie 5 rano, oznajmił jeden z katechistów za pomocą bębna, że czas udać się do kaplicy na modlitwę. W pierwszym rzędzie uklękło ośmiu katechistów: Kosma, Józef, Jakób, Wiktor, Gabryel, Herman Józef, Henryk i Ksawery, a za nimi chrześcijanie, z jednej strony mężczyźni, z drugiej kobiety i dzieci w liczbie około 700. Widok godny Aniołów i ludzi, wpośród plemion całkiem pogańskich. I mnie ogarnęło wzruszenie, kiedy spojrzałem na ten wierzący lud, który się zgromadził ku wspólnemu uczczeniu Zbawiciela świata. Uczucie to zmieszało się jednak ze współczuciem, gdy nieopodal ujrzałem naczelnika wioski, siedzącego w otoczeniu licznych pogan, przygnanych na to miejsce święte pewnym rodzajem ciekawości i chęci przyjrzenia się nabożeństwu murzynów-chrześcijan.

Oby miłosierdzie Boga, który ma się wkrótce ofiarować za nas na ołtarzu, raczyło pociągnąć i te dusze i udzieliło im łaski nawrócenia!

O godzinie 6 rozpoczęła się Msza św. W czasie mego przygotowania do Przenajśw. Ofiary, odmawiali chrześcijanie modlitwy poranne, poczem przemówiłem do nich treściwie o usposobieniu, w jakiem powinni spędzić dzień święty i o skupieniu, jakie zachować należy w czasie nabożeństwa. Kosma, gorliwy katechista z Yankau, odmawiał głośno różaniec, a wszyscy odpowiadali zgodnym chórem: „Święta Maryo, Matko Boża, módl się za nami!“ Kiedy nadeszła chwila konsekracyi, zapanowała cisza uroczysta — i nic jej nie mąciło, prócz słabego szeptu zdumionych pogan. Wkrótce po tej głębokiej adoracyi przyjęło wielu chrześcijan utajonego Boga w Komunii św. z rąk kapłana. Po skończonej Mszy św. odmówiliśmy akt oddania się na służbę Matki Najśw., a promienie słońca zdawały się drżeć radością nad głowami rozmodlonych ludzi.

Wobec skupionej uwagi i poruszonych serc, miałem nietrudne zadanie głoszenia im chwały naszych świętych Patronów. Po kazaniu, znak krzyża św. nad pochylonemi głowami i nabożeństwo skończone. „Jakie święto! Jakie piękne święto!“ powtarzali między sobą szczęśliwi chrześcijanie.

O godzinie 3 po południu jesteśmy znowu w kaplicy, aby się pomodlić za naszych drogich zmarłych. Na czas tych modlitw nakryłem ołtarz welonem dla przypomnienia żałoby. Po godzinie kończymy modlitwy i katechiści gromadzą wiernych, aby powrócić z nimi do wiosek rodzinnych i zanieść nasiona prawdy między swoich współbraci.

Tak szczęśliwie, tak po Bożemu upłynął nam dzień Wszystkich Świętych w Yankau. Miałem co prawda trochę trudu, a potem przez cztery dni febrę, ale otrzymałem to w nagrodę za moją pracę od Pana Boga, bym miał nieco skrócony pobyt w czyśćcu. Pocieszałem się tą myślą w przekonaniu, że pożytecznie jest kosztować cierpień czyściowych, kiedy się przedtem o nich głosiło kazanie.

MISYA OJCÓW „DELLA CONSOLATA“ w Afryce wschodniej.

X. Biskup Perlo, Wikaryusz apostolski *Kenyi*, dziękuje generalnej Kierowniczce za nadesłaną doroczną subwencyę i donosi z Limuru o jej zużytkowaniu:

Ofiara, jaką misya nasza otrzymuje co roku z rąk Sodalicyi św. Piotra Klawera i za którą wdzięczni jesteśmy wszyscy, tak misyonarze, jak i siostry misyjne, ma już swoje przeznaczenie. Obracamy ją wyłącznie na rzecz katechistów, t. j. na cel nietylko najważniejszy w obecnej chwili, ale niemal absolutnie niezbędny w naszej misyi. Liczba katechistów się pomnaża. Mamy ich obecnie prawie stu; a pocieszającą jest nietylko ich ilość, lecz i moralna wartość. Nabywają oni coraz lepszego ducha i stają się tem samem coraz lepszymi nauczycielami. Wielu z nich zostało dopuszczonych do Chrztu św. dopiero w bieżącym roku, pomimo że tego pragnęli od lat kilku. Dziwnem wydać się może, iż nawet katechistom odmawiamy tak długo tej łaski, ale stosunki tutejsze wymagają od nas przezorności i roztropności. Jesteśmy w kraju dzikim, do niedawna jeszcze niedostępnym nietylko dla misyonarzy, ale wogóle dla białych; misya zaś nasza istnieje zbyt krótko, aby mogła pochlubić się gruntownem przeistoczeniem krajowców. Niejednokrotnie posuwamy się aż do stawienia oporu ich pragnieniom, dla wypróbowania wytrwałości. Ma to jeszcze i tę dobrą stronę, że daje pojęcie o łasce Chrztu św. jako o zaszczycie i wyróżnieniu, na które zasłużyć trzeba.

Z czasem, gdy obyczaje mieszkańców zmienią się na lepsze, i przepisy dotyczące przyjęcia tego Sakramentu zostaną oczywiście złagodzone.

W tych dniach zgromadzą się wszyscy lepiej przygotowani katechiści w Mogoiri, w kolegium Niepokalanego Poczęcia. Zebrania takie urządzamy od czasu do czasu w tym celu, aby ożywić ich gorliwość i uzupełnić wiadomości katechetyczne.

Przy tej sposobności powiem im o ofierze, jaką otrzymaliśmy od Sodalicyi św. Piotra Klawera, ofierze, przeznaczonej

wyłącznie dla katechistów i przypomnę im obowiązek wdzięczności, która objawi się w modlitwie ich za Dobroczyńców Sodalicyi, w prowadzeniu życia istotnie chrześcijańskiego i w pracy coraz gorliwszej nad nawróceniem współziomków. Katechiści nasi, wydarci barbarzyństwu, wdzięczność tę głęboko odczują, a chociaż nie zdołają jej wyrazić z subtelnością, będącą wynikiem cywilizacyi, Pan to zastąpi wysłuchaniem modlitw, zasyłanych przez nas wszystkich do nieba, tak na intencyę Czcig. Pani, jak o rozwój Sodalicyi przez Boga jej powierzonej.

Drobne wiadomości misyjne.

X. Biskup Roelens, Czcigodny Wikaryusz apostolski Górnego Konga, pisze między innemi co następuje: „Założyliśmy już dwie misye w obrębie jeziora Kiwu, dotychczas dla nas zamkniętym z powodu rozruchów, jakie tam panowały. Mamy zamiar założyć jeszcze trzecią. Ludność jest gęsta i dobrze usposobiona. Mój pomocnik szukał zeszłego roku odpowiedniego miejsca pod budowę tej trzeciej stacyi misyjnej i pisał mi, że w promieniu 12 km. znajduje się 20.000 ludności. Jeśli Pan Bóg zechce nam zesłać pracowników i środki, to zajmiemy cały ten kraj, i za kilka lat, jak okoliczności zdają się wskazywać, będziemy tu mieli licznych chrześcijan.

Z Baudouinville otrzymuję pochlebne wiadomości o sprawowaniu się naszych dwóch seminarzystów; w połowie października przybędzie dwóch jeszcze. Poleciłem budowę seminaryum duchownego koło domu Ojców w Baudouinville. Według nakreślonego przeze mnie planu, pomieści ono 20 seminarzystów; na razie zaczniemy budować dla siedmiu. Nie mam jeszcze z czego pokryć kosztów tej budowy, lecz Pan Bóg zaopatrzy."

Ofiarność protestantów. Jeden z Misyonarzy z zakonu Ojców od Ducha św., O. Krafft, przytacza wymowne dowody hojności protestantów, dające do myślenia tym, których sprawa misyi „nie obchodzi":

„Mówiąc o poganach i protestantach, nie mogę się powstrzymać od wyrażenia zdumienia, z jakiem patrzę na ich ofiarność w popieraniu wszelkich swych instytucyj.

I tak np.: zbór prezbiteryański w Kalabarze kosztował 130.000 fr. Tę pokaźną sumę złożyli prezbiteryanie szkoccy. — „Napiszcie do Papieża — powiedział mi raz jeden prezbiteryanin — a zobaczycie, czy wam przyśle taką sumę na zbudowanie waszego kościoła." — „Nie, nie do Papieża — odpowiedziałem — lecz napiszę do jego dzieci i chociaż nie otrzymam 130.000 franków, to zawsze dostanie się nam cośkolwiek, a gdy do tego znowu się coś da uzbierać, to złoży się i suma potrzebna."

Pogardzają nami, ponieważ jesteśmy ubodzy, lecz obyśmy zawsze mogli pozostać w ubóstwie i wytrwać w powołaniu!"

Kronika Sodalicyi Św. Piotra Klawera.

Rzym. *Dnia 27 września.* W. O. Apolloni, misyonarz z Bengazi w Trypolitanii, odwiedza dom nasz i opowiada wzruszające szczegóły o kilku młodych, wykupionych przezeń, murzynach niewolnikach. Umarli oni w ciągu roku, a śmierć ich była budująca.

Dnia 5 października. Msgr Lasne, Lazarysta, Biskup-Sufragan południowego Madagaskaru, zaszczyca nas swemi odwiedzinami w towarzystwie W. O. Coulbeaux. Jego Ekscelencya wstępuje do kaplicy, a żegnając, udziela nam błogosławieństwa i obiecuje odczyt za powrotem z Afryki.

Dnia 12 października. Powrót naszej Generalnej Kierowniczki po pięciu miesiącach nieobecności. Szan. Czytelnicy, obznajomieni z planem tak licznych podróży i pracą dokonaną w ciągu tego czasu, podzielą radość naszą z powodu wyraźnej opieki, jaką Pan Bóg otaczał tak jej osobę, jak i wszystkie przedsięwzięcia na rzecz misyj afrykańskich.

Dom misyjny w Maria Sorg. *Dnia 25 sierpnia* rozpoczęły się rekollekcye, tym razem przeznaczone wyłącznie dla eksternistek, oraz kierowniczek filii i biur Sodalicyi. Nauk rekollekcyjnych udzielał W. O. Fridrich T. J., były misyonarz afrykański.

Wtorek, 29 sierpnia. — Cisza i skupienie, jakie panowały w czasie rekollekcyi, ustąpiły miejsca poważnej działalności *I międzynarodowego Kongresu misyj afrykańskich*. Zadanie tego kongresu potrójne: 1) zestawienie i ujednostajnienie środków zaznajamiających z misyami; 2) pogłębienie pojęcia o misyach; 3) wyjaśnienie celu i znaczenia Sodalicyi. Kongres trwał trzy dni. Przemówienia i obrady rozpoczęła Generalna Kierowniczka odczytem: „O wewnętrznej organizacyi Sodalicyi i jej członkach.“ Po odczycie nastąpiła dyskusya. O godzinie 11 przed południem odbyło się zebranie kierowniczek filii i biur, a o godz. 3 po południu odczyt: „O gorliwości i obowiązkach eksternistek, zelatorów i zelatorek.“ O godzinie 5 zgłoszono na ten temat wnioski i postanowienia. O wpół do 8 odczyt: „O rozległości terenu misyjnego w Afryce“, na podstawie mapy. Rzut oka na tę czarną ziemię, z której obszaru tak mało sobie zdajemy sprawę, był nową zachętą dla obecnych do gorliwego współpracownictwa w pozyskaniu jej dla Wiary św. i cywilizacyi.

30 sierpnia. — Gen. Kierowniczka wskazała w dzisiejszem przemówieniu na „Zadanie i znaczenie filii i biur.“

Zgłaszanie wniosków, obrady i zebranie kierowniczek trwały do południa. O godzinie 3 po południu wyjaśnienia dotyczące „rozlicznych zatrudnień“ Sodalicyi. Polecono też bardzo zachęcanie dzieci do współpracownictwa. O wpół do ósmej wieczorem przesunęły się przed oczyma kongresistek świetlne obrazy, przenosząc je w górzystą krainę Abissynii.

Czwartek, 31 sierpnia. „Propaganda, jako zadanie zasadnicze Sodalicyi“ stanowiła przedmiot odczytu i obrad, które trwały do południa. Korzystając z chwil wolnych po południu, zwiedziły uczestniczki kongresu zakład misyjny, poczem, dla dostarczenia im miłej pamiątki, zdjęto fotografię całej grupy. O wpół do ósmej wieczór urządzono na cześć gorliwych współpracownic, a tymczasem jeszcze najmilszych gości, przedstawienie p. t.: „Chcę być misyonarką“, utwór nieodżałowanego zelatora Sodalicyi i pisarza szwajcarskiego, W. X. Prof. Wipfli. Scena końcowa tego pociągającego obrazu: ofiarowanie się Matce Bożej w leśnej kapliczce, wywiera niezatarte wrażenie.

Piątek, 1 września. Wczesnym rankiem podążyły kongresistki do poblizkiego miejsca pielgrzymek „Maria Plain“, by u stóp Matki Najświętszej wyprosić błogosławieństwo dla powziętych postanowień. O godz. 9 odbyło się zebranie ostatnie. Po odczytaniu i przyjęciu protokołu z posiedzeń kongresu żegnała obecnych Generalna Kierowniczka słowami zachęty do wytrwania w działaniu zgodnem i wiernem. Przekonawszy się w czasie dni ubiegłych o piękności i doniosłości pracy dla zbawienia dusz, będą miały uczestniczki więcej gorliwości i siły do wprowadzenia w życie powziętych postanowień, godnego odpowiedzenia łaskom otrzymanym i popierania dzieła misyjnego w miarę powołania. Z żalem rozstawali się goście z Maria Sorg i Generalną Kierowniczką, powtarzając wielokrotnie: „Do widzenia na przyszłym kongresie!“ *)

Tak zakończył się ten pierwszy kongres misyjny, w samejże kolebce Sodalicyi św. Piotra Klawera, ożywiając w duszach miłość i zapał dla działalności apostolskiej.

*) Powzięto między innemi postanowienie zbierania się odtąd corocznie na kongres, w którym uczestniczyć mogą także zelatorzy i przyjaciele misyj. Bliższe wiadomości udzielone będą we właściwym czasie.

ODCINEK.

TEOFIL
wzór służącego, Malgasza.
Przez O. Fontanié T. J.

(Dokończenie).

Co się z nim stało? Posłuchajcie! Inni Misyonarze, więcej zbliżeni, niż ja, do ziemi Malgaszy, znaleźli bowiem schronienie na wyspie Bourbon, po wojnie wyprzedzili mię na wybrzeżu Mananjary w rok co do dnia po naszym stąd odjeździe. Jakież było ich zdziwienie za powrotem, gdy ujrzeli zbliżającego się po przez fale na ich spotkanie, Malgasza. Był on prawie nagi, chudy, wyniszczony febrą, pokryty ranami, ale niósł w prawem ręku parę kaczek, a w lewem kosz jajami napełniony. Gdy odległość między nimi się zmniejszyła, ze wszystkich piersi wyrwał się okrzyk: „Teofil!“ Tak, to był on. Zarzucony pytaniami, pieszczotami, podziękowaniem, Teofil wydawał się niespokojny, szukał i szukał.

— Gdzież on jest? Gdzież on jest?

— Kto?

— Mój Ojciec! Ojciec Fontanié, Ojciec z Ambohimahasoa!

— Jest z drugiej strony morza i wróci dopiero za dwa miesiące.

Na tę wiadomość kaczki i jaja o mało z rąk mu nie wypadły. Pocieszano go powtarzając, że Ojciec jego wróci niedługo. Wówczas ugotował swoje jaja i kaczki, i była to pierwsza uczta naszych misyonarzy nazajutrz po zwycięstwie na tej ziemi, objętej w posiadanie przez Francuzów.

A co robił Teofil w czasie naszej nieobecności? Po naszym odjeździe całe przywiązanie swe przelał na mego psa, Sofinę, którego w ośm dni później, jak mniemał, zabiła tęsknota, i na konia Talatę; ten nieokiełznany, szalony, wzamian za pieszczoty kopał i gryzł swego opiekuna. Następnie, wskutek zmęczenia i zmartwień ciągłych, biednego mego kucharza opanowała gorączka. Z trudem dostał się do Mananjary, do Ambohimahasoi, wydał wkrótce całą dość znaczną sumę, jaką mu zostawiłem, i wyniszczony chorobą, umierając z głodu, pokryty krostami, pogardzany, znieważany przez partyę malgaską protestancko-angielską, nie zaniedbywał jednak doglądania i pilnowania mej zagrody, jednej z tych wyjątkowych, co nie stały się pastwą kradzieży w czasie wojny.

Pozostał on wiernie na swem stanowisku aż do otrzymania wiadomości o wzięciu Tananarywy. Dnia tego skielet, jakim był Teofil, zdał się zmartwychwstać. Wstał, zebrał składkę między innymi chrześcijanami, kupił dwie kaczki, jaja i lekceważąc odległość, gorączkę, zmęczenie, przyszedł na nasze spotkanie i przyniósł nam te podarki do Mananjary.

Czekając mego powrotu Teofil podwoił starań koło niewdzięcznego Talaty, którego wierzgania nie odstraszały go bynajmniej; a kiedy wreszcie przybyłem do Fianarantsoi, powitało mię rżenie i okrzyk: „Mój Ojcze!“ To Talata i Teofil przybyli na me spotkanie.

Pozostawało mi tylko wejście do stolicy mego okręgu Ambohimahasoi i to był tryumf Teofila. Obładowany insygniami swej władzy: rądlami, patelniami i t. p. świeżo przybyłymi z Francyi, szedł, biegł, leciał przed mym koniem. Z tysiąc chrześcijan wyszło na moje spotkanie w połowie drogi, wszyscy naczelnicy, oraz niewiasty starsze, niesione w *filanjanach*, i muzyka wielkorządcy. Tłum ciekawych tworzył eskortę. Generał Duchesne, obejmując w posiadanie Tananarywę, nie miał takiego tryumfalnego wjazdu. A wielkorządca, choć wilią tego dnia był nieprzyjacielem politycznym i religijnym, dziś przyszedł sam złożyć hołd Ojcu i Teofilowi, gdyż Teofil to ze swem gospodarstwem osiągnął czysty dochód z tego tryumfu. Dary złożone memu kucharzowi przy tej sposobności, składały się: z 2 wołów, 11 baranów, 14 gęsi tłustych, 35 indyczek, 100 kaczek i kur, kilku miar ryżu. Teofil zaprosił na wspaniałą biesiadę moich 1.500 uczniów i 1.200 chrześcijan, moich parafian, a przez pięć miesięcy bez wydania grosza, żyjemy resztkami tej pamiętnej uroczystości.

W samej rzeczy ten Teofil jest skarbem! Niech Bóg raczy mu błogosławić i zachować mi go jak najdłużej!

ODPUSTY ZUPEŁNE,

których w grudniu dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicyi św. Piotra Klawera:

dnia 21 grudnia w uroczystość św. Tomasza Apostoła;
dnia 27 grudnia w uroczystość św. Jana Ewangelisty.

Warunek: Godne przyjęcie św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza, nawiedzenie kościoła, modlitwa o rozkrzewienie wiary i na intencyę Ojca św.

Zamknięcie redakcyi 1 listopada 1911.

Wydawca: Sodalicya św. Piotra Klawera.
Redaktor odpowiedzialny: *Zofia Popielówna.*

W Krakowie. — Drukarnia „Czasu“ pod zarządem A. Świerzyńskiego.